

MOJE POSZUKIWANIE MIEJSCA NA DALSZE ŻYCIE

Utrata Kresów Wschodnich sprawiła, że wielu Polaków znalazło się poza granicami ojczystego kraju. Na jakim poziomie żyją Kresowiacy, co osiągają ich dzieci? Z pewnością dużo zależy to od stopnia cywilizacji i postępu technologicznego w kraju zamieszkania.

Nie wszyscy mieli szansę dokonania dobrego wyboru miejsca na dalsze życie.

Zapoznajmy się ze wspomnieniami pani Tekli, zaobserwujmy jakie miała możliwości i co osiągnęła, pracując ciężko przez całe życie.

Tekla Oleśkiewicz – Łotwa

Wciąż jestem polską emigrantką



Tekla Oleśkiewicz

Moi rodzice Zasztowt Franciszek i matka Michalina z domu Daszkiewicz mieszkali w zaścianku Wymśk w powiecie Brasławskim woj. Wileńskiego. Miałam trzech braci: Franciszka, Konstantego i Antoniego. Byliśmy zamożną rodziną i żyliśmy dostatnio.

Gdy wybuchła wojna ja chodziłam do pierwszej klasy wiejskiej szkoły. Po wkroczeniu Sowietów wprowadzono rosyjski język nauczania. Nauka przychodziła nam ciężko, bo nie znaliśmy języka rosyjskiego. Po wkroczeniu Niemców obowiązywał w szkole język białoruski i niemiecki. Z tymi językami też były kłopoty.

Brat Franek poszedł na wojnę i służył w Wojsku Polskim. Po zakończeniu wojny powrócił do nas w listopadzie 1945 roku.

Razem z nami mieszkała siostra ojca, wdowa Elżbieta Markiewicz, która z dużym poświęceniem ciężko pracowała w naszym gospodarstwie, a dla nas dzieci, była drugą matką. Nasza mama w 1937 roku ciężko zachorowała, nie była zdolna do pracy i nie mogła nas doglądać.

Po wkroczeniu na Litwę, sowieci ograbili nas doszczętnie, nie mieliśmy środków do życia, nie było czym obsiewać pola. Znaleźliśmy się też na liście do wywózki na Sybir, ale z uwagi na ciężką chorobę mamy pozostawiono nas na razie na miejscu.

W latach 1940–1941 w naszej szkole pracowali polscy nauczyciele. Było to małżeństwo Julian i Maria Karaszewscy, posiadające dwóch synów w moim wieku – Romka i Luśka. Pan Julian znał język rosyjski i pracował w szkole, a jego żona ponadto uczyła w domu po polsku mnie i swoich synów. Mieszkaliśmy pod jednym dachem, bo ojciec udostępnił im kwatery w naszym obszernym domu. Byli to zacni i pobożni ludzie. Po zakończonej wojnie wyjechali do Polski.

W czasie okupacji niemieckiej mieliśmy ciężkie życie, w dzień nekali nas Niemcy, a nocami grabili partyzanci. Utkwiło mi w pamięci najście partyzantów na nasz dom. U nas nie mieli już co zabrać wobec tego zainteresowanie swoje skierowali na Kraszewskiego, domagali się pieniędzy i złota. Ojciec mój

próbował ujmować się za nimi, wtedy partyzanci ustawili nas pod ścianą i skierowali w naszą stronę lufy automatów, rozlali naftę i grozili spaleniem domu. Mama straciła przytomność i upadła na podłogę i dopiero wtedy partyzanci, a raczej rabusie, zostawili nas w spokoju. Zabrali wszystkie rzeczy Karaszewskich i odjechali furmankami.

Ojciec pomagał Żydom. Żydowscy krawcy, dobrzy znajomi moich rodziców, przychodzili do nas nocą. Rodzice wspierali ich czym mogli, chociaż sami żyliśmy w niedostatku. Zapamiętałam tylko dwa imiona owych Żydów: Jankiela i Mośka. Czy przeżyli wojnę? Tego nigdy się nie dowiedziałam.

Po zakończeniu wojny ojciec starał się o wyjazd naszej rodziny do Polski, ale stanowczo odmówiono mu. Ciocia Elżbieta zmarła w 1946 roku. Był to dla mnie bolesny cios. Od tej pory musiałam w domu sama wszystko robić i braci posyłać do szkoły. W 1948 roku zmarła mama, zostało nas troje dzieci z ojcem, bo brat Franek ożenił się i z nami już nie mieszkał.

Było nam bardzo ciężko znosić trudy codziennego życia. Gospodarstwo nasze obłożono dużymi podatkami ustalając wysokie normy zboża, kartofli, mięsa, które należało odstawić w naturze i spore sumy do zapłacenia gotówką.

Gdy zaczęła się kolektywizacja zabrano nam wszystko co jeszcze

posiadaliśmy: ziemię, bydło i cały sprzęt gospodarski. Zostały nam gołe ściany i nie mając nic musieliśmy pracować w kołchozach za darmo.

W 1950 roku, na podstawie fał-

Brasławskim, był bardzo zaprzyjaźniony z ks. Leonem i z moim ojcem. Po powrocie z Syberii, gdzie przebywał 10 lat, często przychodził do nas 15 km piechotą i razem



Kościół w Turgielach

szywego oskarżenia, aresztowano naszego księdza Leona Zawcewicza, z parafii Borodzenicze. Osądzony na 25 lat zsyłki wywieziony został w rejon Tomska, gdzie na stacji Bierykuł pracował miotłą i łopatą jako sprzątac. Po śmierci Stalina ksiądz powrócił i zamieszkał w naszym domu, bo plebania była zawłaszczona przez miejscowe władze.

Ksiądz Józef Ingielewicz, dziekan z Nowego Pohosta w powiecie

z ks. Leonem odprawiał nabożeństwo w naszym domu.

Parafianie rozpoczęli starania o zwrot kościołów w Borodzeniczach i Nowym Pohoście, ale sowieckie władze stanowczo odmówiły. Rozpoczęły się prześladowania naszych księży, tak że obydwaj kapłani zmuszeni byli szukać miejsca w innych stronach. Do końca życia pracowali na Litwie w Turgielach i Rudnikach.

Obydwu księży wspominałam dlatego, że byli oni dla mnie, moich braci i wielu innych młodych ludzi wzorem i fundamentem moralnym. Pisali do nas z więzienia prosząc żebyśmy zachowali wiarę w Boga, żebyśmy nie zatracili narodowości polskiej i ojczystego języka. Modlimy się do dziś, ażeby Bóg miłosierny przyjął ich do grona swoich apostołów.

Nasze życie na Wileńszczyźnie stawało się nie do zniesienia, musieliśmy utrzymywać się z działki przyzagrodowej, bo kolchoz nie płacił nam za pracę. Ojciec miał 80 lat, nie miał siły sadzić kartofli łopatą, zaprzęgał więc krowę, żeby ciągnęła sochę. I ta sama krowa musiała dać 16 kg masła w ciągu lata, które należało odstawić jako obowiązkową normę. Siana nie pozwalali kosić!

Dwóch moich braci służyło w wojsku, a ja z ojcem cierpiałam piekło na ziemi. Ostatni cios spadł na nas kiedy odebrano nam ogród i dom trzeba było przemieścić do centrum zaścianka. Mieliśmy piękny, obszerny dom oraz ładny sad, który ojciec sam posadził. Dali nam ogród 4 km od miejsca naszego zamieszkania, na czystym polu. Czy ja młoda dziewczyna, z ojcem starszym, bez pieniędzy i bez chleba, mogłam zająć się budową domu?

Nocą zwinęliśmy węzłki po cichu i pożegnaliśmy się ze swoim

domem i naszą ziemią. 18 maja 1958 roku zatrzymaliśmy się w Ekabpiłsie na Łotwie. Przyjęto nas do miejscowego kolchozu, gdzie wyznaczono mnie na stanowisko dojarki na fermie. Otrzymałam pod opiekę grupę krów, które musiałam doić ręcznie, karmić, czyścić, latem kosić dla nich trawę i zwozić siano. Była to bardzo ciężka praca od świtu do nocy, bez wolnych dni, za którą zapisywano mi „trudodni”. Żyliśmy jakoś, lecz zabijała nas tęsknota za rodzinnym krajem, swoim domem i własną ziemią. Bardzo cierpieliśmy pod względem duchowym, bo w kościele ewangelia i kazania były wygłaszane w języku łotewskim, którego nie rozumieliśmy. Do kościoła przychodziło sporo dziewczyn i chłopców z polskich rodzin. Kiedyś ksiądz proboszcz zainteresował się nimi i zapytał skąd jesteście, bo młodzi Łotysze do kościoła nie przychodzili. Po rozmowie z nami ksiądz proboszcz powiedział, że w każdą niedzielę i święto o godzinie 11³⁰ ewangelia i kazanie będą wygłaszane po polsku. Do dziś pamiętam ten radosny dzień i wzruszenie do łez. Uczęszczanie do kościoła od tej pory słodziło gorzyc naszego życia i umacniało moralnie w naszym cierpieniu.

W kolchozie pracowałam do 1964 roku. Organizm nie wytrzymał pracy ponad siły, podupałam na zdrowiu, utraciłam władzę w rę-

kach do tego stopnia, że nie mogłam utrzymać szklanki wody ani łyżki. Zwolniono mnie z obowiązków w kołchozie i w 1964 roku wyjechałam do Lepaji.

Miasto będące ważnym portem wojennym, znajdowało się na obszarze zamkniętym, do którego nie można było przyjeżdżać. Jednak mój brat Konstanty, pracujący na okręcie wojennym, pomógł mi osiedlić się w Lepaji. Tu nie mogłam znaleźć dla siebie pracy dlatego, że miałam kołchożny paszport.

Minęło 40 lat od tej tragicznej chwili, kiedy opuściliśmy swój rodzinny kraj Wileńszczyznę, a mnie do dziś serce boli i tęsknię, bo tam minęło moje dzieciństwo i lata szkolne. Mieszkaliśmy na swoim, mieliśmy swój dom i własną ziemię. Związek Radziecki zabrał nam ziemię i za korzystanie z niej nie płacił nam ani kopiejki. Przez wiele lat pracowałam w kołchozach na Białorusi i na Łotwie, których nie zaliczono mi do wysługi emerytal-

nej. Dlatego mam żal, bo przecież z mleka, serów, masła i mięsa, co było wytworem pracy naszych rąk, korzystali ludzie w miastach. Czuję się pokrzywdzona, podobnie jak wielu moich rodaków, których dotknął los podobny do mojego.

Nie mam już nadziei na lepsze jutro, zdrowie jest nadszarpnięte i nic mnie już nie cieszy. Utraciłam Ojczyznę i tu, po wielu latach, wciąż jestem polską emigrantką.

Emerytura jest taka mała, że nie wystarcza na skromne życie i opłatę mieszkania. Przy tym trzeba płacić za wizyty u lekarza i za lekarstwa. Sowieckie pieniądze, które zbierałam na czarną godzinę poszły na marne dlatego, że za tysiąc rubli wypłacali 5 lat. Tysiąc rubli trzeba było zbierać cały rok niczego nie kupując.

Dwukrotnie w życiu swoim byłam mocno przegrana raz za nastaniem sowietów, a drugi za nastaniem demokratów.